

# ANTTI TUOMAINEN



# TEORIA BOBRA

ALBATROS

Tytuł oryginału:  
MAJAVATEORIA

Copyright © Antti Tuomainen 2022  
All rights reserved

Published by agreement with Salomonsson Agency

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2024

Polish translation copyright © Bożena Kojro 2024

Redakcja: Marzena Ginalska

Projekt graficzny serii: Mark Swan

Projekt graficzny okładki i ilustracja:

Kasia Mieszka / Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

*Wydawca*

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa

wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



NOCĄ ŚWIAT FIKOŁKÓW PACHNIE prawie tak jak mój park przygody Fun-Landia: plastikowe i metalowe części i konstrukcje urządzeń, środki czyszczące i dezynfekujące, delikatne ślady aromatów oferty dnia kawiarni. Klimatyzacja szumi, wiejący na zewnątrz hali północno-wschodni wiatr wznieca śnieg, nasila wrażenie zimna i wystawia na próbę blaszane ściany. Poza tym jest cicho.

Nie mogę powiedzieć, że czuję się tu zupełnie swobodnie.

Jestem aktuariuszem, a nie włamywaczem.

Przyszedłem do parku nowego rywala po prostu... żeby pozyskać informacje, których inaczej nie mógłbym zdobyć. Ale czy to nie jest pewnego rodzaju kradzież? Czy nie tak włamywacze tłumaczą się ze swoich czynów? Że po prostu sprawdzają pobieżnie wnętrza zarządzane przez innych ludzi i zabierają tylko to, czego nie udałoby się im wziąć

innym sposobem?

Nabieram powietrza głęboko w płuca. Na tego rodzaju rozmyślania będzie czas później. Przypominam sobie o tym, że właściciel Świata Fikołków w trakcie krótkiej działalności na rzecz rozwoju swojego przedsiębiorstwa groził mi, że pobije mnie własnymi rękami, i wyraźnie osobiście oświadczył, że zamierza doprowadzić mój park do bankructwa – im szybciej, tym lepiej.

Światło wlewa się do hali z różnych stron; zewnętrzna poświata przenika przez liczne, umieszczone pod sufitem okna, lampki wytyczające drogę ewakuacyjną jarzą się przytłumioną zielenią, a na zachodnim końcu odznacza się wielkie szare słońce, stanowiące część logo Świata Fikołków. Z sekundy na sekundę widzę lepiej. Kontury wyostrajają się, otoczenie nabiera głębi i kształtów, obiekty się wyodrębniają.

Z poprzedniej wizyty dość dokładnie zapamiętałem topografię hali. Naturalnie pamiętam także zakaz wstępu, który wtedy otrzymałem.

Rozróżniam Walczące Słonie na Kółkach, Kangurzy Ring, zapierającą dech w piersiach wysoką Skocznnię Eiffla oraz pozostałe atrakcje i znów dziwię się, jak Świat Fikołków może oferować to wszystko zupełnie za darmo. Na podstawie faktów, które znam, dochodzę do wniosku, że w grę wchodzi albo dążenie do szybkiego bankructwa, albo kryją się za tym ludzie, którym nie zależy na pieniądzach.

Żadna z tych ewentualności nie wydaje się specjalnie prawdopodobna.

Dopiero raczkuję, jeśli chodzi o bezprawne wdzieranie się na cudzy teren, ale uważam, że udało mi się przynajmniej włożyć odpowiednie buty. Niedrogie wygodne tenisówki, kupione w niemieckim markecie, są miękkie i kolorowe, a poza tym mają grubą podeszwę. Idę bezgłośnie. Pierwszy mój cel znajduje się we wschodniej części parku; to skrzydło biurowe za Ścianą Wspinaczkową Koczkodanów. Oczywiście nie spodziewam się, że na biurku dyrektora zarządzającego znajdę wyczerpujący raport, który zdradzi mi, jak Świat Fikołków zamierza dokonać rzeczy niemożliwej: osiągnąć zyski, ponosząc ciężkie straty. Mam jednak nadzieję, że na koniec tej wyprawy zwiadowczej będę wiedział więcej niż przed przyjściem tu.

Koczkodany milczą, gdy je mijam. Częściowo dlatego, że są plastikowe, ale głównie z tego powodu, że zasilający je prąd został wyłączony na noc; nie warto ich uruchamiać, gdy nie mają z kim rywalizować we wspinacze.

Do skrzydła biurowego prowadzi kilka schodków kończących się otwartym wejściem. Nie ma drzwi ani niczego, co zasłaniałoby pomieszczenie przypominające hol, w którym po przeciwnej stronie znajduje się rząd okien sali konferencyjnej. Wchodzę do niej i rozglądam się.

Długi szaro-biały stół biurowy stoi ukośnie, granatowe plastikowe krzesła są od niego odsunięte. Oprócz tego nie

dostrzegam żadnych sprzętów poza flipchartem. Zbliżam się do tablicy i przewracam zapisane kartki.

Jedna z nich jest najwyraźniej poświęcona potrawom na lunch. Cztery głosy otrzymało tajskie jedzenie, przegrywając nieznacznie z burgerem, za którym optowały trzy osoby. Przewracam dalej kartki, aż trafiam na pierwszą pustą. Zastanawiam się przez chwilę, a potem wracam do jednej z tych, które pomiąłem. Z jakiegoś powodu wydaje mi się istotna.

U góry wypisano rok, który właśnie się rozpoczął, a pod nim poszczególne miesiące. Na końcu upływającego stycznia widnieje liczba 100. Luty kończy się zerem, a przy kolejnych miesiącach wstawiono wartości ujemne:

Marzec: -100

Kwiecień: -200

Maj: -300

I tak dalej, aż do grudnia (-1000).

Cokolwiek ktoś chciał zobrazować za pomocą tej prostej tabeli, zrobił to, wykorzystując przejrzystą i konsekwentną formę prezentacji. Wracam do holu.

Na prawej, krótszej, ścianie wisi jedynie plakat z krajobrazem parku narodowego – co właściwie wydaje mi się dziwne, biorąc pod uwagę ludzi zarządzających tym miejscem, których spotkałem i którzy, w każdym razie na pierwszy rzut oka, nie wyglądają na takich, co lubią

wycieczki – a po lewej jest dwoje drzwi.

Pierwsze nie są zamknięte; otwierają się, jak to zwykle się dzieje, po naciśnięciu klamki. Pomieszczenie za nimi przypomina bardziej magazyn niż biuro. Są w nim różne rzeczy, począwszy od płaskiego telewizora – nadal w fabrycznym opakowaniu – do pudełek ze sprzedawanymi hurtowo ciasteczkami owsianymi.

Rozglądam się przez chwilę i przychodzi mi do głowy, że sądząc po tym pomieszczeniu i małej sali konferencyjnej, zawiadujący tą firmą ludzie – poza tym, że próbowali mnie pobić i zagrażają istnieniu mojego parku – wydają się bardzo zwyczajni, jeśli chodzi o ich działalność.

Na stole leżą dokumenty i narzędzia. Na jednym ze stosów spoczywają szczypce ze śladami oleju łańcuchowego, a obok leży brudna rękawica robocza. Drugiej nie widzę, przynajmniej nie od razu. Nie widzę także raportów zawierających szczególnie interesujące mnie liczby. Przechodzę za stół, zabieram się do gruntowniejszych oględzin i przytomnieję, bo uświadamiam sobie dwie rzeczy.

Po pierwsze, serce bije mi tak mocno, że nic nie słyszę.

Po drugie, trzymam zapaloną latarkę, choć żaluzje są częściowo otwarte. Gaszę ją natychmiast i staram się oddychać spokojnie. Lecz szum i łoskot w głowie tylko się nasilają. Jak wspomniałem wcześniej: włamanie do

przemysłowych obiektów nie są moją mocną stroną. W końcu serce jakoś mi się uspokaja i szum cichnie. Wiem jednak, że organizm przed czymś mnie ostrzega, i starając się dowiedzieć, przed czym, wracam do drzwi.

Kierunek jest właściwy, ponieważ od strony hali dobiega stukot, a ja zdaję sobie sprawę, że słyszałem taki sam chwilę temu. Czekam, ale kolejny nie następuje.

Przemierzam bezgłośnie hol i stoję przy wyjściu. Odczekuję chwilę. Nadal niczego nie słyszę, zaglądam więc do hali parku i wodzę wzrokiem z lewa na prawo.

Skocznia Eiffla, niemal równie wysokie jak ona rozdające ciosy Kangury, miękkie Słonie na Kółkach i...

Bóbr.

Osiemnastometrowy obiekt oferujący liczne aktywności, jak składana pluszowa zaporą, dmuchany zamek do skakania w kształcie ogona i zjeżdżalnie – to jest właśnie główna atrakcja Świata Fikołków. Ogromny zwierzak spoczywa pośrodku na brzuchu i gdy się patrzy na niego z tej strony, gigantyczny gryzoń jest ukryty częściowo za Skocznia Eiffla i Słoniami na Kółkach. Widzę jednak jego pysk. Wielkie, białe siekacze pobłyskują nawet w mroku. Ale to nie ich biel i wielkość zwracają moją uwagę.

Na podłodze, koło zębów, coś leży.

Nie widzę ani nie słyszę, żeby ktoś się gdzieś poruszał. Szczęki zwierzęcia są za daleko, żebym mógł rozpoznać, co takiego zamierza zjeść. Oczywiście nikt nie zostawił na noc



przysmaku bobrowi zrobionemu ze stalowych elementów konstrukcyjnych, choć widok na to wskazuje. Już odwracam głowę, gdy dostrzegam jakiś ruch tuż nad podłogą. Najpierw wydaje mi się, że coś odrywa się od ciemnej, jednolitej masy, ale już po chwili uświadamiam sobie, co się właściwie dzieje.

To ramię opadające wzdłuż czyjegoś tułowia. Obok ręki – to też zauważam dopiero teraz – leży stetson.

Serce znów mi łomocze, w uszach szumi tak, jakbym stał na skraju hałaśliwej autostrady. Rachunek jest prosty, równanie zawiera bardzo ograniczoną liczbę czynników: ktoś najwidoczniej się zranił i potrzebuje pomocy, a przecież nie ma większego znaczenia, czy przebywam tutaj jako aktuariusz, czy w innej roli (nadal nie jestem pewien, czy spełniam ściśle kryteria charakteryzujące włamywacza). A ponieważ nie widać nikogo innego, na mnie spada obowiązek pomocy rannemu człowiekowi. Wynik sumowania jest oczywisty.

Ruszam do przodu.

Muszę zrobić dość duże okrążenie, by dotrzeć do Bobra, ponieważ na drodze do niego znajduje się wiele innych obiektów parku. Idę bezgłośnie, jak wcześniej. W końcu obchodzę jedną z nóg Skoczni Eiffla i trafiam niemal pod same szczęki olbrzyma. W odpowiednim momencie zatrzymuję się jednak, by nie nadzieć się na jego zęby – a nawet robię chwiejny krok do tyłu.

Poznaję faceta z Zachodu po ubraniu: buty kowbojskie, dżinsy, ozdobna koszula rodeo, krawat bolo z błyszczącym orłem. Wiem, kim jest ten mężczyzna, znam jego nazwisko. To właściciel parku. Spotkałem się z nim, powiedziałem mu, co myślę o jego metodach działalności biznesowej, i gorąco zachęcałem do zmiany nastawienia. A przede wszystkim w obecności świadków oświadczyłem, że nie zamierzam się poddawać, odpowiem na jego agresję na swój sposób i zrobię, co konieczne, by bronić swojego parku przygody.

Ale teraz ten człowiek się nie rusza, wszystko w nim jest nieruchome. Oczy ma otwarte. Usta także, a poza tym są czymś wypełnione. Wystaje z nich plastikowy rożek na lody, mniej więcej półmetry. Jego ostry i prawdopodobnie stalowy koniec tkwi głęboko w przełyku mężczyzny. Nic nie mogę poradzić na przemykającą mi przez głowę myśl, że wygląda to jak całkowicie nieudana reklama. Zamierzam zrobić krok do przodu albo do tyłu – nie wiem, czy jestem w stanie dokonać jakiegokolwiek wyboru – kiedy moje serce ostatecznie eksploduje.

– Morderca!

Krzyk dochodzi od głównego wejścia. Jednocześnie słyszę, że ktoś biegnie.

Kilka setnych sekundy to czasami bardzo dużo czasu. Patrzę na leżącego człowieka, a potem w stronę tego, który nadbiega, dostrzegam znajomą niebieską twarz i stwierdzam, że sytuacja jest dla mnie pod każdym względem

niekorzystna. Obracam się i przygotowuję, by ruszyć, gdy słyszę inne kroki, dochodzące z przeciwległego kierunku.

– Policja! Stać!

Mój obrót trwa i trwa, i – wreszcie! – zaczynam biec. Pędzę w stronę tylnych drzwi, przez które wszedłem do parku. Udaje mi się jeszcze pomyśleć o dwóch sprawach: mojej kominiarce i podeście na kółkach, który stoi oparty o ścianę przy drzwiach. Kominiarki potrzebowałem z ostrożności na wypadek kamer. Nie chwaląc się, bardzo mi się teraz przydaje.

Natomiast podest mógłby...

– Zatrzymać go! – słyszę za plecami. Jestem pewien, że rozpoznaję ten głos. – To zabójca!

Docieram do wyjścia, wypadam na zewnątrz, zatraskuję drzwi i natychmiast podnoszę oparty o ścianę metalowy podest. Przystawiam go do bariery pomostu załadownego, a potem blokuję drzwi. Robię to dosłownie w ostatniej chwili, gdy ktoś wpada na nie z drugiej strony i zaczyna w nie uderzać. Krzyk nadal się roznosi, choć przytłumiony, i nie rozróżniam już pojedynczych słów. W zasadzie nie muszę. Sytuacja jest wyjątkowo jednoznaczna, a wynikające z niej konsekwencje są proste: jeżeli zostanę złapany lub rozpoznany, nie będę już tylko włamywaczem.

Będę mordercą.

DZIEWIĘĆ DNI WCZEŚNIEJ

# 1

NISKO ZAWIESZONE BIAŁE STYCZNIOWE słońce świeciło mi prosto w twarz, kiedy przeszedłem przez pusty salon, otworzyłem drzwi i wkroczyłem na balkon. Czysty śnieg lśnił i skrzył się, drzewa dźwigały swoje śnieżne kożuchy w milczeniu. Gdzieś daleko szumiał opuszczający teren pług usuwający śnieg. Zaczerpnąłem głęboko powietrza i powiodłem wzrokiem po znajomej okolicy. Ludzie mieszkający w domach o regularnych kształtach prostopadłościanów nadal cieszyli się energooszczędnym ogrzewaniem, funkcjonalnym rozplanowaniem wnętrz i niezrównanymi pod względem stosunku jakości do ceny metrami kwadratowymi. Podobnie jak ja do tej pory.

To był mój ostatni dzień w Kannelmäki.

Zauważyłem, że lekko drżą mi dłonie, i przez chwilę starałem się przekonać siebie, że bierze się to z wysiłku związanego z pakowaniem i podnoszeniem, wielokrotnego

przemierzania schodów i niekończących się czynności ustawiania, dopasowywania i wpychania, które wcześniej wykonywałem. Lecz wkrótce przyznałem, że nie jest to cała prawda.

Zaledwie nieco ponad sześć miesięcy temu przyszło mi opuścić dział szacowania ryzyka w towarzystwie ubezpieczeniowym. Byłem aktuariuszem, wykonywałem zawód i pracę, z którymi nadal chętnie się utożsamiam. Zostałem jednak doprowadzony do sytuacji, gdy musiałem wybierać między wyjątkowym upokorzeniem a dobrowolnym odejściem z grona pracowników spółki. Zwolniłem się. I wkrótce potem odziedziczyłem park przygody po bracie, który właśnie zmarł. Jednocześnie przypadło mi w udziale jego zadłużenie wobec groźnych przestępców. Jedna sprawa prowadziła zadziwiająco logicznie do drugiej: trupa w kawiarnianej zamrażarce, zakochania się w malarstwie i artystce, obrony parku przygody przed wrogim przejęciem przez wielkich inwestorów i przed różnymi bandytami, a także pośrednio do dodatkowych trupów, no i oczywiście do tego, że mój brat ożył, i wypadków, które nastąpiły po tym. I wreszcie do chwili, w której miałem stać się członkiem rodziny po raz pierwszy od czasów pełnego chaosu dzieciństwa i młodości.

Ostatecznie wszystko potoczyło się szybko. (Wiem, że wiele osób tak mówi, kiedy popełnią jakiś poważny błąd – zainwestują oszczędności w akcje firmy produkującej sa-

mochody elektryczne, w momencie gdy wartość tych akcji właśnie osiągnęła szczyt, albo po jeździe slalomem na autostradzie pod wpływem odurzenia alkoholowego – i wtedy, kiedy chcieliby mieć dostęp do wehikułu czasu). Na szczęście zdążyłem trochę przywyknąć do tego, że wiele czynników w moim życiu pędzi z prędkością meteoru – w każdym razie w porównaniu z tym, jak było kiedyś – i że coraz częściej musiałem dokonywać wyborów w chwili, gdy pociąg ruszał.

A Laura Helanto była moim meteorytem, moim pociągiem.

Spotkaliśmy się w parku przygody, gdzie pracowała jako kierowniczką od dnia, w którym wyszła z więzienia. Trafiła do niego z powodu wielowymiarowych i wielowarstwowych przestępstw gospodarczych popełnionych przez jej byłego partnera. Wkrótce dowiedziałem się, że zatrudniła się w parku, by zarobić na utrzymanie swoje i córki, że z zawodu jest właściwie malarką, a jej sztuka ma na mnie wpływ nieporównywalny do wcześniejszych doświadczeń, którego nie mogłem wyrazić żadnym matematycznym wzorem. Potem okazało się, że sama malarka również oddziałuje na mnie w podobny sposób, a właściwie nawet silniej. Dowody – potwierdzone przez bieg wypadków – wskazywały na to, że Laura ma wobec mnie takie same odczucia.

A mimo to...

Odetchnąłem, czyste zimowe powietrze drapało mnie

w gardle, odświeżało płuca. Nie usuwało jednak całkowicie drżenia, nie mówiąc o jego przyczynie. Chyba mogę stwierdzić, że w porównaniu z tym, jak postępowałem, gdy pracowałem w firmie ubezpieczeniowej, moje późniejsze zachowanie stało się bardzo ryzykowne. Oczywiście nie poszedłem w ślady Pascala ani Euklidesa, jak sobie kiedyś postanowiłem. Wiele razy wpadaliśmy z Schopenhauerem w zdziwienie z powodu nierozważnych desperackich czynów i ogólnej lekkomyślności ludzi, ich działań i decyzji bez wcześniejszych starannych i wielokrotnie weryfikowanych obliczeń na temat opłacalności i prawdopodobieństwa. A co sam teraz robię?

Styczeń przypomniał mi o swoim istnieniu. Wprawdzie słońce świeciło oślepiająco, ale zimno przenikało początkowo ubranie, następnie skórę i każdą część ciała i sadowiło się gdzieś głęboko, aż w okolicach kręgosłupa. Spojrzałem jeszcze raz na wszystko, z czym się żegnałem. Potem się odwróciłem, opuściłem balkon, przemierzyłem wypełnione echem kroków puste mieszkanie do drzwi, zamknąłem je starannie, zszedłem po schodach i wsiadłem do czekającej przed klatką schodową ciężarówki.

KIEROWCA BYŁ PRZYSADZISTYM MŁODYM człowiekiem o grubych dłoniach, który nawet w zimie miał na sobie tylko podkoszulek i nieustannie dotykał pofalowanej fryzury;



sprawdzał ją nawet podczas noszenia rzeczy. Dwa razy zauważyłem, jak po wejściu po schodach staje przed lustrem w łazience, wzburza włosy i je układa. Już przy zamawianiu transportu podałem, dokąd jedziemy, ale teraz, kiedy zatrzymaliśmy się na światłach, kierowca z jakiegoś powodu poruszył ten temat znowu.

– Herttoniemi to niezła okolica – powiedział i zerknął na mnie.

Jego komentarz wyrwał mnie z zamyślenia. Może niezobowiązująca pogawędka – niemal nigdy ich nie prowadziłem – poprawi moje samopoczucie i jak to mówią, ożywi atmosferę.

– Lubię tę dzielnicę – przyznałem. – Komunikacja jest znakomita, budynki są pierwszorzędnej jakości, ich utrzymanie nie kosztuje zbyt wiele, mieszkania zostały zaprojektowane z prostotą i stanowią czysty przykład funkcjonalizmu, a ich wartość, jak można przypuszczać, utrzyma się, a nawet wzrośnie zarówno w krótkiej, jak i dłuższej perspektywie.

Przerwałem na chwilę, spojrzałem kierowcy w oczy i dodałem:

– Zakładając naturalnie, że niektóre warunki makroekonomiczne nie zmienią się znacząco.

Mężczyzna milczał. Potem jakby z wysiłkiem oderwał ode mnie wzrok i spojrzał na drogę.

– Zacznę wyładunek od pudeł – oznajmił. – Bo niedługo

będziemy na miejscu.

Zjechaliśmy ze wschodniej obwodnicy na rondo, zrobiliśmy niemal pełne okrążenie i niemal w ostatnim momencie znaleźliśmy się na tak zwanej starej drodze w dzielnicy. Prawie od razu skręciliśmy w lewo, minęliśmy supermarket i zaczęliśmy piąć się po ulicy biegnącej ostrym łukiem na prawo. Jechaliśmy w ciszy, która zapadła po krótkiej pogawędce; chyba samopoczucie poprawiło się wystarczająco nam obojgu albo wyczerpaliśmy temat związany z Herttoniemi. Kierowca najwyraźniej nie potrzebował wskazówek, żeby odnaleźć właściwy adres.

Wjechaliśmy na górkę, niemal do końca ulicy, jeszcze raz skręciliśmy w lewo i po pokonaniu stromego podjazdu stanęliśmy przed budynkiem. Znajdowaliśmy się w geograficznie najwyższym punkcie okolicy, co oznaczało, że byliśmy na miejscu.

Kierowca zgasił silnik.

Otworzyłem drzwi, wyskoczyłem na pokryty śniegiem dziedziniec i w tej samej chwili moje wątpliwości co do sensowności przedsięwzięcia po prostu się rozwiały.

Może wzięło się to wyłącznie z tego, że kiedy spojrzałem do góry, ujrzałem na tle ciemniejącego wieczornego nieba znajome okna na drugim piętrze, promieniujące ciepłem i przytulnością. Albo z tego, jak szybko udało mi się zrefinansować pożyczkę, którą wspólnota wzięła na wymianę rur, i pozostałą część kredytu hipotecznego Laury tak, by

raty były niskie, rozłożone na wiele lat, z niskim stałym oprocentowaniem i razem z funduszem remontowym stanowiły przez dłuższy czas umiarkowane koszty utrzymania mieszkania.

Jednak nie chodziło o to.

LAURA HELANTO WYSZŁA z klatki schodowej, przymocowała metalową obręcz drzwi do niskiego stalowego słupka i skierowała się w moją stronę. W miarę jak się zbliżała, zdawałem sobie sprawę, że to nie mieszkanie zmieniałem. A nawet nie przewoziłem swoich rzeczy. (Chociaż oczywiście wniosę je wkrótce po kamiennych schodach na drugie piętro, starając się nie dotykać metalowej poręczy, unikać jej głuchego dźwięku i niskich drgań spowodowanych uderzeniami). Przeprowadzając się, zmieniałem na lepsze swoje życie.

Odtąd stało się inne.

Popatrzyłem na Laurę i doświadczyłem tej samej radości, która raz po raz ogarniała mnie na jej widok. Podołał mi się jej wygląd – włosy przypominające dziki krzew, patrzące z ciekawością żywe oczy, podkreślone ciemnymi okularami, lekko niesymetryczne szerokie usta, wyraźnie zarysowana trójkątna dolna szczęka – a jeszcze bardziej jej praktyczne usposobienie. Często miałem wrażenie, że wyprzedza mnie pod wieloma względami, jakby odczytywała

moje myśli, a nawet z góry wiedziała, co będę myślał w określonej sytuacji albo o jakiejś sprawie. W tej chwili nie potrafiłem stwierdzić, czy zauważyła całkowitą zmianę w moim nastroju, ale wiedziała, co powiedzieć.

– Witaj w domu, Henri.

Przez następne półtorej godziny zanosiliśmy rzeczy do mieszkania. Kierowca wykonał znakomitą robotę. Trzeba jednak przyznać, że zaskoczyła mnie krótka rozmowa między nim a Laurą. Wyglądało na to, że mimo wszystko chciał zainicjować pogawędkę na temat Herttoniemi; słyszałem, jak wypowiada to samo zdanie co wcześniej. Potem wymienili krótkie opinie o dzielnicy, wyraźnie nacechowane emocjami, więc w grę wchodziły raczej bezwartościowe argumenty porównawcze, i wydawali się zadowoleni z końcowego wyniku. Zaraz po tym kierowca minął mnie, ale nie próbował w żaden sposób rozszerzyć wątku ani kontynuować tematu ze mną. Wprost przeciwnie: szybko zamknął drzwi i sądząc po energicznych krokach roznoszących się echem po klatce schodowej, zwyczajnie uciekł.

Z oprawionym w ramki równaniem Gaussa pod pachą przeszedłem do salonu, w którym Laura stawiała już moje książki na wspólnym regale. Jej córka Tuuli i Schopenhauer dołączyli do nas, wychodząc z pokoju dziewczynki. Pod tym względem także martwiłem się o to niepotrzebnie: dziewczynka i mój kot najwyraźniej dobrze się dogadywali, a różnica wieku chyba nie wpływała źle na ich relację;

Schopenhauer odnosił się do nowej koleżanki uprzejmie i pozytywnie, chociaż ona mówiła więcej i poruszała się szybciej niż jakakolwiek istota, którą miał okazję poznać.

NOCĄ, GDY LEŻAŁEM JESZCZE z otwartymi oczami, a Laura spała twardo z głową na moim ramieniu, co chwilę przypominały mi się różne zdarzenia. Nie wszystkie były przyjemne. Wielokrotne pościgi, zatopienie w ciemnym jeziorze zwłok gangstera, który próbował mnie zamordować, podejrzania inspektora Penttiego Osmali z Wydziału Przestępstw Gospodarczych i Przestępczości Zorganizowanej, ucieczka i śmierć brata, a potem próba przejęcia przez niego przedsiębiorstwa i w końcu jego zniknięcie, a także liczne inne wypadki z ostatnich miesięcy, z którymi uporałem się wyłącznie dzięki matematyce i jakiemuś innemu, trudnemu do zdefiniowania czynnikowi, w którego kontekście – jak się zorientowałem – wymienia się najczęściej słowo „miłość”.

Przysłuchiwałem się wyciu zimowego wiatru w kominach i spokojnemu, głębokiemu oddechowi Laury. Prawe ramię zaczęło mi już drętwieć, ale nie czułem potrzeby wyciągnięcia go spod jej głowy. W gruncie rzeczy nie czułem potrzeby robienia czegokolwiek, żadnego ruchu. Chciałem być tutaj. I nieprzyjemne obrazy zaczęły znikać, a w ich miejsce pojawiły się migawki z naszych tak zwanych randek – tego obszaru życia i sposobu spędzania czasu, które

uważałem za skrajnie ryzykowną, nieopłacalną na dłuższą metę działalność aż do dzisiaj, do tego wieczoru, gdy razem rozpakowaliśmy pudła i stworzyliśmy wspólny dom. Potem i te przyjemne obrazy zaczęły się rozplýwać i czułem tylko ciepło Laury Helanto.

Ostatnią moją myślą przed zaśnięciem było: dotarłem do domu. Wreszcie znalazłem swoją drogę do bezpiecznego miejsca, w rzeczywistości i w przenośni. (Oczywiście jako aktuariusz, wiedziałem, chociaż moją świadomość ogarniał mrok, że w życiu można prognozować stuprocentowo jedynie jedną rzecz i że wiąże się ona wyjątkowo ściśle z dobrze wyliczonym ubezpieczeniem na życie).

Ta myśl wydawała się równie ciepła, równie rzeczywista i równie istotna jak śpiąca u mojego boku Laura Helanto.

Byłem bezpieczny.

Nic mi już nie groziło.

## Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- [swiatksiazki.pl](http://swiatksiazki.pl)
- [empik.com](http://empik.com)
- [bonito.pl](http://bonito.pl)
- [taniaksiazka.pl](http://taniaksiazka.pl)

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.  
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę [wydawnictwoalbatros.com](http://wydawnictwoalbatros.com), gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).